

# JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

OSTROŻNIE Z OGNIEM

# Józef Kraszewski

## Ostrożnie z ogniem

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843042](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843042)

*Ostrożnie z ogniem:*

### **Аннотация**

Julka i Maria, dwie młode kobiety, przyjaciółki, spotykają podczas spaceru nieznanego młodzieńca. Julia postanawia dowiedzieć się kim jest tajemniczy jeździec – rozpytuje w okolicy, ale nikt nie zna mężczyzny. Dziewczęta spotykają go po raz drugi w tym samym miejscu, ale i tym razem nie dowiadują się kim jest i gdzie mieszka. Po raz trzeci spotykają nieznanego na balu dobroczynnym. Czy tym razem uda im się dowiedzieć kim jest mężczyzna? Znakomita powieść obyczajowa pisarza, który za swoje dokonania trafił do księgi rekordów Guinnessa jako autor największej liczby napisanych powieści.

# Józef Ignacy Kraszewski

## Ostrożnie z ogniem

A ja, zawołała blondynka, żywo podnosząc głowę i wyciągając rękę jakby wskazywała miejsce, w którym przed nią ktoś miał uklęknąć – ja, żebym kochała, żebym najmniejszą oznaką wzajemności opłacała miłość, żądam po moim przyszłym kochanku, jak starożytna heroina: jak xiężniczka w bajce, tysiąca, tak tysiąca dowodów przywiązania. Dwom, trzem, niewierzę. – Ci panowie mają nas za słabe i łatwowierne istoty; myślą sobie – O! bylebym się uśmiechnął do niej, bylebym tylko chciał. O! nie! nie! ze mną to nie będzie tak łatwo. – Nim uwierzę, nim się poddam, musi mi mój kochanek wycierpieć męki czyscowe; będę go dręczyć, będę go drażnić, będę go ujeżdżać. —

– Aż miłość w nim zabijesz, odparła czarnooka.

– Ja bo takiej miłości, która zabić łatwo, jakiegoś tam robaczka, co to mu lada chłodek szkodzi, lada ciepło go o mdłości przyprawia – niechcę, niechcę. Wszystko, albo nic. Chce kochać, ale kochać raz na zawsze, całą duszą, całym sercem, życiem całym. A wzajemnie chcę duszy, serca i życia. —

– Duszko chcesz wiele, chcesz za wiele!

– A nie – to nie będę kochać wcale, zawołała żywo blondynka – Co mi tam! te wasze bladoróżowe miłostki wykwitające z każdą wiosną, opadające za każdą zimą, to funta kłaków nie

warte.

– Kochanie! spytam cię przedrzeźniając francuzkie przysłowie – na jaką to książkę stąpiłaś dzisiaj?

– Książkę?? Jak gdyby to książki taki na mnie wpływ miały.  
– Jeśli koniecznie chcesz spowiedzi, powiem ci szczerze, najszczerzej, cóżem ja temu winna, że mnie taką pan Bóg stworzył? U mnie tak zawsze i we wszystkim. – Wszystko lub nic. Pytam się ciebie, lepiejże swoje serce, przywiązanie, siłę tę, którą Bóg w nas wlał dla szczęścia ludzi..

– Duszko moja! przerwała śmiejąc się czarnooka.

– Nie przerywaj – Lepiejże tę siłę zmarnować, kupując za nią obwarzanki po trzy grosze, które ni smakują, ni karmią, czy za całe złoto jej dostać jedno rajskie jabłko?

– A! dobrze powiedziałaś mimo woli – Rajskie jabłko, i jak po niem: wygnanie z raj, płacz i śmierć. —

– Mój raj w sercu mojem, a gdy w niem tylko miłość przechowam i uniosę, któż mnie z niego wygna? —

– Zapominasz w zapale, jak kruche szczęście ludzkie.

– Tak! ale i życie kruche – to pociesza. —

– Droga, unosisz się zadaleko – Śmiałybyś —

– Wszystkobyem śmiała, kochając – kochana.

– Wielkie szczęście, że nikt nas nie słyszy.

– O! jestem pewna, że choć tego nie mówię, wszyscy mi to z oczów czytają.

– Nie daj Boże!

– Jak to? czyste mam myśli!

– Ale szalone i nie jeden zapragnąłby z nich korzystać, – oni tak dobrze grają jaką chcą rolę.

– Nie zemną! Niechże wprzódzie przebędzie próby i złoży dowody. – A! naówczas, gdy pokocham, gdy będę pewną, że mnie kocha – jego jestem cała, na wieki. Niekochając i głowy nawet nieodwrócę i próbować nie będę – Na co?

– A nuż pójdziesz za męża bez miłości?

– Ja? ja? To mówiąc rozśmiała się na całe gardło i pokazała białe jak śnieg ząbki drobnouchne, ostre, gęsto w ustach zasiane. Ja? pójść za męża tak sobie, jak to wy wszystkie idziecie? – Prawdziwie, gdyby to kto inny mówił? ale ty moja droga, co mnie znasz. —

– A! wszystko się trafia na świecie!

– Nie! nie! nie! – I wzięwszy się oburącz za głowę, blondynka zakręciła się w kółko, potrząsała nią i ruszając ramiony, usiadła znowu na zielonej murawie pod dębami.

– A gdyby?

– Gdyby, mówisz? Niechże mój przyszły małżonek wcześniej sobie stryczek nagotuje, bo pewnie do pół roku powiesić się będzie musiał, rozumie się, jeśli sobie w łeb nie strzeli, czego mu nie bronię. – Takiej żony świat nie widział, jaką bym ja była.

– Z twojem anielskiem sercem —

– Tak, z mojem! Mam serce, mam, ale też kiedy to serce zabije nienawiścią, gniewem, wstrętem; z drogi panowie! z drogi!!

– A! jakżeś ty zabawna! smutnie odpowiedziała po chwili

namysłu wewnętrznego czarnooka.

– Zabawna! słyszysz ją? Ty mi nie wierzysz?

– Wierzę, że dzisiaj tak myślisz! ale jutro – jutro tak odmienia!

– U mnie wczoraj, dziś, jutro – Jedno!

– Droga, zapalasz się —

– Całe życie jestem zapalona.

– Słuchaj! a gdybyś kochała nie kochaną?

Blondynka zastanowiła się, otworzyła oczy wielkie – No, to cóż? będę się starać o **jego** miłość z **umiarkowaniem**; a jeśli mnie nie pokocha – no – to – to —

– Sprzeczasz się sama z sobą – Z **umiarkowaniem**? gdzież twoje umiarkowanie, którego się wyparłaś przed chwilą? Dokończ więc, cóż będzie jeśli nie pokocha?

– To potrzebuje namysłu! Czyż wiem coby natenczas zemną było. Umarłabym – albo, albo – O! niewiem – kto to takie robi przypuszczenia dla mnie, co jestem niepocholebiając sobie – wszyscy mi to mówicie – ładna jak aniołek, zła jak szatanek i doprawdy, sama przyznaj – że wcale nie głupia. —

– Chodź dziecko! niech cię uściskam! I dwoje dziewcząt rzuciły się, śmiejąc ku sobie, objęły się rękoma, a w pocałunku długim, serdecznym, urwała się rozmowa..

Był to prześliczny wieczór letni, a dzień pogodny – słońce za drzewami złociło zachód jaskrawo; reszta niebios od światła żółtego, od czerwonych blasków, przez liliowe półcienie zlewała się z czystym błękitem, na którego tle jednostajnym

płynęły powolnie chmurki z jednej strony płomienne, z drugiej przyćmione. Czerwony wieżyc podnosił się na przeciwnej stronie, przekreślony w pół pasem niedojrzanej chmurki, która go rozcinała na dwoje. —

— Nad drogą szeroką wiodącą do widnego w oddaleniu dworu na wzgórku stojącego, na łące zielonej pod rozłożystemi dębami malowniczo rozrzuconymi, siedziały nasze dziewczęta jeszcze uściskiem milczącym spojone. Blondynka położyła główkę cudnej piękności na ramieniu swej towarzyszki, która oczy wlepiła w ziemię i smutnie się zadumała.

Śliczny to był obrazek! Promienie słoneczne padając przez drzew gałęzie dziwacznie oświecały zieloną murawę na której siedziały i ich piękne twarzyczki. Skromnie i po wiejsku ubrane, pozrzucawszy kapelusze słomkowe, u nóg ich leżące, z rozpuszczonymi biegiem i swawolą włosami, dwie dziewczęta spoczywały teraz po przechadzce i żywej rozmowie. Młodsza blondynka, aniołek piękności, z głębokiem ognistem spojrzeniem, szafirowych oczów, średniego wzrostu, nieporównanej kibici, miała w sobie coś tak uroczonego, że niepodobna było spojrzeć na nią i nie zadrzeć. Jej wzrok mówił tak wiele, tak dziwnych rzeczy, że nad nim jak nad niezgłębianą przepaścią, stawał osłupiały człowiek. Spiące myśli rozbudzały się nim w duszy, falami biły o serce i rzucały w niepewność, zadumę, tęsknotę i rozpacz.

Wzrok tej kobiety był najsilniejszym dowodem nieśmiertelności duszy ludzkiej. Jego życie było tak silne, tak

wielkie, że się tym światem i żywotem skończyć nie mogło. Lecz o dziwna sprzeczności! – usta tej samej kobiety, maleńkie różowe, świeże jak rozkwitła róża, śmiały się szydersko z własnych oczów. Oczy miała niebieskie – usta ziemskie. I kto się upił jej oczyma, otrzeźwiał ustami. Patrząc w jej źrenice, można było wieczność przedumać i wieki prześnić w zachwycie; – usta w jednym pocałunku oddawały całe skarby swoje. —

A jak była piękna! jak piękna, gdy czasem usta różowe smutnie się do wyrazu jej oczów nastroiły: naówczas świat cały u nóg jej mógł leżeć i wstaćby mu się niechciało i niepomyślałby wstawać. —

Czoło blondynki godne było jej oczu; a włos jasny opromieniał je, jak aniołów skronie rozjaśnia złocisty nimbus. Było to białe pole, po którym płynące zdawało ci się widzieć myśli jasne, myśli szare, złociste, skrzydlate; – każda z nich przesuwała się po niem wyraźnie, przepływała przez oczy czarodziejskie i – nikła. – Któż wie gdzie nikną myśli, dokąd idą? Towarzyszka pięknej Julii niemniej zastanawiała wdziękiem smutniejszym daleko, na którym piętno wyraźne złożyło uczucie, niemające w języku naszym nazwania, bośmy go w sercach niemieli, niemamy – **rezygnacja**. – Czarne oczy długą rzęsą przyćmione, w łzie niewysychającej pływające, lśniły się cichym tłumionym smutkiem, którego perjod gorączkowy, chwila gwałtowna już przeszła. Pozostała – rezygnacja w cierpieniu. – Usta czarnookiej śmiały się, ale smutnym, zawodu i boleści chrześcijańskiej uśmiechem, cała twarz mówiła o tajemniczej

przeszłości jakiejś bohatersko przeniesionej, która jak widmo już tylko przesuwała się przed jej oczyma.

A jednak mimo surowego wyrazu twarzy, czarnooka mało co była starsza od towarzyszki; – widocznie cierpienie jej dojrzałość przyspieszyło, i każdy rok dwa lata zapisał na chmurnem jej czole.

Czarnooka nie miała tej świeżości wiosennej, tej białości idealnej, która tak zdobiła blondynkę; blada, ciemnej płci, pomimo piękności rysów potrzebowała być bliżej poznaną, żeby się podobała, żeby pociągnęła. Nie jednemu zdała się nawet brzydką. Wzrok jej nigdy się nie podnosił śmiało, po młodemu z zapytaniem, z wyzwaniem, z ciekawością; jakby niechciała w świat patrzeć lub nie była go ciekawa, spuszczała oczy, przelotnie rzucała powłóczyстым wzrokiem, gdy na nią nikt nie patrzył.

W uścisku serdecznym, długim, niewiem co myślały obie – może o innym pocałunku! o przyszłości, o sobie – może? któż wie co myślą dziewczęta, gdy się całują, kto wie czy myślą nawet? Spuściły głowy, oparły je i oplotwszy się rękami dumwały. Marja czarnooka patrzyła na ziemię. Julja blondynka puściła wzrok po za drzewa w jasne promienia słoneczne, od których nie zmrużyła powiek. – I chwila dość długa upłynęła tak niepostrzeżona, nieuczula, zdało się im, że mgnieniem oka przeleciała.

W tem po za niemi tentent i szelest nagle dały się słyszeć, ziemia zadrzała, gałęzie chrzęstać poczęły, liście spadać strzęśnione; a dziewczęta przestraszone niewymownie, niemając siły zerwać się na nogi przed grożącym jak im się zdawało

niebezpieczeństwem, obróciły tylko główki w stronę z kąd je łoskot dochodził. —

Z zielonej dąbrowy pędził jeździec na pięknym siwym koniu, ze strzelbą na plecach; walczył on z ognistym i prześlicznym kształtów wierzchowcem, który go prawie unosił. — Z rozdartem nozdrzem, z rozczochraną grzywą, podrzuconym ogonem, spotniały, z żyłami wzdętymi, które siecią dziwną na cienkiej rysowały się skórze, siwek unosił a raczej unieść chciał pana. Ale nie było to łatwo. Na grzbiecie jego, jak wrosły siedział młody, przystojny, barczysty i silny jak się zdawało mężczyzna. Ubiór jego bardzo był prosty, bo składał się z sukmanki siwej, zielono okładanej, na której strzelba i róg myśliwski na zielonych krzyżowały się paskach. Na czole czapeczka lekka krojem pospolitym ledwie pokrywała część głowy, noszącej wyraz męzki i szlachetny. Ciemne włosy krótko ucięte, ciemne oczy, nos orli z ruchawami jak u szpaka nozdrzami, które w tej chwili walka rumieniła, usta rumiane i kształtne, składały całość więcej charakterem niż rysami odznaczającą się. Spokojna odwaga, męstwo pewne siebie, a przytem łagodność towarzysząca zawsze prawdziwej sile, odbijały się na pięknej jego twarzy. Nie bił i nie znęcał się nad koniem jak innyby pewnie uczynił, ale go wstrzymywał, łagodził i pokonywał zrećźnie.

Prawie najechawszy na siedzące dotąd pod dębami dziewczęta, gdy te krzyknęły z bojaźni, a koń nagle w bok się odsadził gwałtownie; myśliwiec potrafił utrzymać się na nim i korzystając ze znużenia jego, osadził prawie na miejscu.

Naówczas spojrzął dopiero na dwie piękne nieznajome, i widać było jak się zdziwił, postrzegłszy je niespodzianie.

– Przepraszam! zawołał zdejmując czapeczkę – przestraszyłem panie!

– O nie! odpowiedziała Julja – to nie, ale pan się sam rozbić mogłeś, lecąc tak przez las.

Nieznajomy się uśmiechnął —

– Pozwoliłem, rzekł głaszcząc siwego – pozwoliłem memu koniowi myśleć, że mnie uniesie. Jeszcze raz darować mi proszę. To najgorzej, że się w cudzy las zapędził i muszę jak złodziej uciekać.

To mówiąc skierował siwego ku drodze, skłonił się patrzącym nań dziewczętom, przesadził rów, i puściwszy koniowi cugle, jak strzała uniósł się w stronę przeciwną dworowi. A uciekając obejrzał się raz jeszcze. —

Marja i Julja patrzyły nań długo, długo; pierwsza dumiała smutnie, druga marzyła coś z bijącym sercem.

– A! a! opowiem babuni, gdy wrócimy, zawołała Julja z pospiechem – miałyśmy przecie awanturę, coś nakształt pierwszego rozdziału starego, bardzo starego romansu. A wiesz Maryniu, że mi się to bardzo podoba! Nagle z drzew wypada nieznajomy, na siwym koniu; piękny, młody, silny zjawia się, przemówił i znika. Niewiemy kto jest, zkąd? prześlicznie! I jak w porę przybył; właśnie gdyśmy mówiły o miłości, o kochanku – nie jestże to oznajmienie? nie jestli to jakby coś przez los obrachowanego? Mówiąc to Julja się uśmiechała; ale łatwo

poznać było, że choć żartem niby zwierzała się myśli, myśl ta już nad nią panowała.

– Julciu droga, już ci się główka zapala!

– Gdzież tam! ale sama wyznaj! nie prześlicznyż to mojego romansu początek. Młodzieniec nawet bardzo się zbliża do mojego ideału, pełen wyrazu siły, męztwa i szlachetności.

– Jużes go tak dobrze oceniła?

– O! na to dosyć jednego wejrzenia —

– Czemuż ja widziałem w nim tylko zbłąkanego sąsiada, który trochę się chciał przed panienkami z Dąbrowy swoim koniem pochwalić!

– Niegodziwa jesteś! Naprzód koń go doprawdy unosił; powtóre znamy wszystkich naszych sąsiadów. —

– Wiec to rycerz nieznamy z nieba dla ciebie spadły?

– Już nic niepowiem! szydzisz ze mnie! Ale wyobrażam sobie podziwienie dobrej babuni, gdy jej naszą awanturę opowiem.

– I jak nas tylko co nie roztratował.

– Koń był daleko —

– Dla czegożeś krzyknęła?

– Alboż ja wiem!

Tak rozmawiając, szły wysadzaną topolami drogą, ku dworowi, który już białął na wzgórzu w kłębnie zielonych olch i wysokich starych dębów.

Julja gwarzyła i szczebiotała wesoło. Marja milczała, uśmiechała się lub odpowiadała jej krótko. – A blondynce tak było pilno pochwalić się awanturą na przechadzce, że im bliżej

starego dworu, tym szybciej spieszyła i biegiem już prawie wpadła na dziedziniec otaczający obszerny dom cały zasadzony jaśminami, bzami, akacją, cały jaśniejący kwiatami. Wszędzie ich było pełno: róże, malwy, floxy, gwoździki, lewkońje i tysiące innych, właśnie w całej krasie, krajowych i oswojonych kwiatów, ścisnęły się pod płotami, obejmowały dom, zalegały środek dziedzińca. – Ganek dworu ubierała winna latorośl, powoje, róża wijąca i kapryfolum różowe i czerwone. Pod oknami rzędami stały wyniesione wazony ustawione w szeroką ulicę. —

Dziedziniec łączył się z ogrodem, w którym także niezmiernie bogactwo kwiatów rwało oczy. Na zielonej murawie w białych koszach, wśród dębów rozłożystych, iskrzyły się najświetniejszymi barwami rzadkie i nie rzadkie, a piękne tylko łąk i lasów całego świata mieszkanki. – Po za dębami widać było wodę, altanę z dębu i brzeziny i zarośla bez końca, w kształtne powycinane klomby. —

W takim wieńcu zieloności i kwiecicia stał dwór stary o wysokim dachu, o pierzastych kominach, na wysokim wzniesiony podmurowaniu. Jak sarneczka wbiegła do sieni Julka z powolniejszą daleko Marją. —

– Chodź do babuni, chodź zawołała, powiemy jej nasze spotkanie – I pociągnęła towarzyszkę do salonu, który kilką drzwiami szklannymi wychodził na ogród. Ganek, drzewa i kwiaty, których i tu pod oknami pełno było, zaciemniały spokojny ten kątek; – poważny i smutny jak przeszłość. Wśród wielu nowych dodanych świeżo błyskotek, odwieczne sprzęty

innych czasów odbijały swym skromnym wdziękiem. – Znać nieodważono się ich wyrzucić, ale trzpiot wnuczka, niemając wcale szacunku dla starych krzesel, kanap i zwierciadeł w porcelanowych ramach, usiłowała je upokorzyć wprowadzając co tylko mogła nowego. Nie bardzo się jej to przecie udawało. białe ze złotem meble, pokryte karmazynową tryką, która osłaniała także ściany w misterne ramy złożone ujęta, wcale nie wstydziły się przy zielonym safianem wybitych fotelach z mahoni dość grubo i pospiesznie wyrabianych.

Jedno wielkie zwierciadło w pięknych złożonych ramach, wydawało się jakimś dorobkowiczem niesmacznym przy lustrze w porcellanowych okładkach, które mu nie ustąpiło placu. Stare portrety familijne, angielski dywan na podłodze, trochę wytwornych nowych cacek i fortepiano palisandrowe, ubierały resztę salonu, po którym i przeszły i terazniejszy widać było dostatek.

Z salonu weszły dziewczęta do drugiego pokoju, podobnie do pierwszego, ale skromniej przybranego. Tu także były stare i same tylko stare sprzęty. Na kominie zegar brązowy z porcelanowemi ozdobami, wskazywał szóstą godzinę. Drzwi w pół otwarte wiodły do przyćmionego pokoju babki. – Skromny był on i niewielki; jedno okno na ogród wychodzące, światło mu dawało; pod oknem był stolik założony różnemi gracikami w porządku ustawionemi. Piękna szkatuła, mały podróżny zegarek leżący na czterech nogach brązowych, kilka książek, krucyfix hebanowy z figurą ze słoniowej kości, trochę kluczków i papierów.

Dalej stało łóżko pod adamaszkowym pawilonem, kanapka włosieniem skromnie wybita z bronzowymi ćwiekami, kilka podobnych krzesłek z wyginanymi poręczami. Nad kominem portret mężczyzny w dawnym polskim stroju z podgoloną czupryną i wesołą twarzą, jakich już dziś niewidać. Między stolikiem a łóżkiem, na wygodnym fotelu ze stołeczkiem pod nogami siedziała staruszka różaniec i książkę nabożną trzymając w rękach. Piękne były rysy jej twarzy, a ze spokoju, którego na nich panował, czytałeś przeszłość czystą i cnotliwą polskiej matrony!

Prosta, niewiele umiejąca, ale pełna rozumu i serca, starościna mogła być wzorem niewiasty naszej przeszłych wieków, o której zapomniały dzieje, milczą księgi, lecz podanie włożyło na jej skroń gwiaździstą i promienną koronę.

Pobożność, mężtwo, dobroć niewyczerpana, powaga cnoty, czystość dziecinna, – oto co odznaczało niewiastę naszą do XVIII. wieku. Nikt o niej po za domem niewiedział, lecz wszyscy czcili i błogosławili ktokolwiek zbliżył się do niej. Nie była to zalotności pełna Francuzka, której życie trwało tyle co piękność; ani marząca Niemka, więcej w dumaniach niż na ziemi zrosła; ani sztywna Angielka, dla której przyzwoitość droższą jest od samej cnoty: żywa choć poważna, łagodna i surowa razem, wielka, bo zawsze pani siebie samej; – w sercu miała skarby poświęcenia i dobroci, choć usta była milcząca, choć skąpa na słowa. Życie jej więcej było czynem niż słowem i myślą. Usta modliły się, ręce pracowały, serce kochało w

Bogu i Boga – Nigdy myśl nawet nieczysta nie sprowadziła majestatycznej matrony w kałuże ziemi; nic ją skalać, nic świętego jej spokoju zachwiać nie potrafiło. Życie całe było dla niej dobrowolnym, miłym spełnieniem obowiązku, czystą ofiarą, nieustannym poświęceniem wśród zapału religijnego, który oświecał i ogrzewał na każdym kroku. Wiara zbroiła ją na wszystkie wypadki życia: w szczęściu dziękowała Bogu lekliwie, niedowierzając pomyślności, bo była ziemską, a zatem znikomą; w przeciwności rosła, mężniała, olbrzymiała, nabierała sił niespodzianych, wznosiła się do heroizmu. – W ówczas walka nie nużąc ją, zdawała podsycać w niej życie.

Swoich kochała bez granic i dla nich mogła grzeszyć zbytkiem przywiązania, które niezawsze objawiało się dla ich przyszłości zbawiennym, pobbłażała im, pieściła, usiłując ozłocić ich życie, ubezpieczyć przyszłość; dla obcych, w których widziała posłańców Boga, dla obcych, nieszczęśliwych i ubogich dobroczynną była nietylko datkiem, nietylko chlebem, ale współczuciem, duszą, braterską pieczę i litością serdeczną. To co my zowiemy światem, a co jest wrzawą i zgiełkiem potrzebnym dla tych, co spokój stracili lub cenić go nieumieją – nieuśmiechało się jej wcale, nie nęciło, straszycło raczej dla siebie i drugich, niżeli pociągało.

Dnie jej spływały jednostajne, od kolebki do grobu nieznacznie wiodąc, bez wielkich wstrząśnień, bez zmian nagłych, wolnym i równym krokiem. Na tej skromnej tkaninie przeszłości, błyszcząły gdzie niegdzie złote nici i czarne pasma,

jak granice, na których wstrzymało się życie weselem lub boleścią. Lecz po nich szły znowu szare jednostajne dni spokojne, modlitwą i pracą barwione.

Taką była starościna babka Julji, którą widzimy siedzącą w krześle z książką i różańcem w ręku. – Była – bo teraz wiek ją znacznie odmienił. Ze wszystkich cnot, niewyczerpana dobroć i łagodność, najsilniejsza w niej zawsze, teraz wszystkie inne w sobie zamknęła. Męztwo i **rozum serca**, którym dawniej widziała tak jasno wszystko, choć przyczyny nie badała, choć z wiedzy nie zdawała sobie sprawy, zakrzepły w staruszce. Modlić się i kochać pozostało jej tylko.

Kochała też wnuczkę z żywością, z namiętnem prawie wylaniem się dla niej, nią żyła, nią oddychała, drżała o nią i w modlitwie nieraz czuła się grzeszną przeciw Bogu, bo przywiązanie do wnuczki przechodziło granice, które w jej przekonaniu wiara oznaczać była powinna.

Żywo wbiegła Julka do pokoju staruszki i uklękła przy stołeczku całując jej ręce.

– Otożesz się zlatała! łagodnie głaszcząc ją po czole, odezwała się staruszka.

– A jakże lecieć nie miałam, odparła szybko Julka kładąc głowę na kolanach starościnej, kiedy wystaw sobie babuniu, mam ci opowiedzieć taką śliczną awanturę.

– Awanturę! Jezu Panie! alboż —

– Słuchaj no babciu i nie trwoż się, bo nie ma czem. Jak cię kocham, coś bardzo ciekawego i pięknego. —

– No, to mówże mi prędzej, przestraszyłaś mnie. —

– Wystaw sobie droga babciu, poszłyśmy z Marją w dąbrowę, tuż za topolową ulicą, i nabiegawszy się za kwiatkami, usiadłyśmy pod dębami spocząć. Gadamy, gadamy – o już tego ci niepowiem babuniu cośmy tam mówiły, bo byś mnie niezrozumiała i nazwała być dziecięciem: – aż w tem hałas, szelest, tentent —

– Jezu! cóż to było!

– Śliczny młody chłopiec na pięknym siwym koniu, który o włos że nas obie nie stratował. —

Staruszka zakryła sobie oczy.

– Ale posłuchaj babciu, konia wstrzymał, przeprosił nas, przemówił słów kilka i przesadziwszy przez rów na swoim siwym, zniknął nam z oczów. —

– Któż to by mógł być?

– Właśnie najśliczniej że niewiemy kto – nieznajomy i dosyć!

– Młody, stary?

– Ale naturalnie, że młody i piękny mężczyzna.

– A! ty trzpiocie najdroższy...

– A żeby babcia wiedziała jaka męzka postawa, jak dokazywał na koniu, jak mu pięknie było choć w siwej sukmance. —

– Tyś się bardzo przelekła —?

– Troszeczkę. Marja podobno więcej odemnie.

– Ja!

– Ale nie zapieraj się! Mnie to przynajmniej zabawiło, rozweseliło zaraz, a ty dotąd tak jesteś chmurna.

– Kiedyż ja jestem inaczej? spytała po cichu towarzyszka.

– Teraz kochana babciu, paplała Julka całując ją w rękę – ten nieznajomy ze swoim koniem zajechał mi w głowę tak, że muszę się dowiedzieć kto ón jest, co za jeden?

– Julku! co pleciesz!

– O! jak babunię kocham, że nie plotę, zaraz zrobię śledztwo, przegląd jak najściślejszy sąsiadów i muszę odkryć kto to taki. Mam do niego i trochę pretensji. —

– Za przestach?

– Ale nie. Mógł przecież widząc dwie młode i ładne panienki, bo juściż obie w swoim rodzaju jesteśmy bardzo ładne, mógł zsiąść z konia, zarekomendować się i dłuższą poprowadzić rozmowę – nieprawdaż babuniu?

– Nie, moje dziecko. Właśnie najrozumniej zrobił, i za to go bardzo szanuję, że pokłoniwszy się, jak należało, przeprosiwszy, pojechał sobie dalej. —

– Ale to obraza mojego majestatu, przerwała wnuczka. Jakże! podobno się nawet nie obejrzał.

– O! już szukasz nadaremnej przyczepki, byłam świadkiem, że się oglądał, przerwała Marja.

– I ty przeciwko mnie! Babuniu! każ jej klęczeć, buntuje się przeciw swojej najlepszej przyjaciółce.

Jeszcze chwilkę w ten sposób ciągnęła się rozmowa, gdy wniesiono kawę dla staruszki. Właśnie Julka najpocieszniej dopominała się o wywiedzenie o swoim nieznajomym, gdy Wojciech stary sługa pani starościnej wniósł na tacy imbryczek,

filizankę i dwie grzaneczki.

Nieobejdziemy się bez bliskiego zapoznania z panem Wojciechem: był to dawny pacholik starosty, potem pokojowiec, aż nareszcie kamerdyner starościnej od śmierci jej męża. Siwy i stary, ale rzeźwy i prosto się jeszcze trzymający, z wesołą twarzą, dobroduszości pełną, wszedł pan Wojciech do pokoju. Ubrany był w szpencer szaraczkowy, z którego jednej kieszeni ogromna wyglądała tabakierka, w jednym uchu kołysał się ogromny złoty kólczyk złoty; chustka czarna z wielkimi końcami, na wysokiej duszy obwinięta, podtrzymywała głowę jego już może mającą ochotę trochę się na karku pochylić. – Wygolony świeżo, choć włos byłby mu może pokrył gęste zmarszczki wcale niepożądane, na ustach miał uśmiech prawie młody.

Uśmiech ten i żywo biegające oczki, a razem dewizki od zegarka, misternie zawiązana chustka i kólczyk, zdradzały słabość nieszczęsną, która życie pana Wojciecha zatrąła. – Kochał się! – kochał do siedmdziesięciu lat bez ustanku i dotąd ożenić się nie mógł – a że tego pragnął!! i jak pragnął – wiedzą co go znali. – Miłość była życia jego żywiołem, jasnym słońcem dnia, który niestety skłaniał się już bardzo ku zachodowi.

Nie było w garderobie pani starościnej piętnastoletniego dziecięcia, do którego by niewzdychał pan Wojciech, którego by wzajemności nadzieją nie miał prawa cieszyć się choć godzinę. Służył też swym ulubionym z poświęceniem godnym lepszej nagrody – wszystko co miał było dla nich, karmił je, woził, sprawiał wieczorki, kupował prezenta, a nigdy potem zdradzony,

nie pożałował nawet swych ofiar – kontentował się przekleństwami na **pleć niestałą i zdradliwą**. Naówczas to sypał z za rękawa w kredensie anegdota o niegodziwości kobiet i przewrotności ich charakteru świadczące, klnąc się, że nigdy póki życia, więcej na żadną nie spojrzy. Przecież nazajutrz kochał się znowu. Był to już nałóg taki, a w siedmdziesięciu latach któż się wykuruje z zastarzałego nałogu? – Zresztą był to najpoczciwszy, najlepszy człowiek, wszyscyśmy słabi, przebaczymy mu.

Gdy Wojciech z kawą starościnej wszedł do pokoju na palcach, uśmiechając się i wdzięcząc, a głowę bardzo prosto usiłując utrzymać, Julka porwała się żywo i chwytając go za rękę spytała.

– Wojciechu! znasz wszystkich w sąsiedztwie.

– Jakże pani? a kogożbym nieznał, toż to już – (zadławił się liczbą, nie widząc potrzeby wdawać się w kompromitujący rachunek) – już – dawno dosyć tu mieszkamy.

Staruszka bojąc się żywości wnuczki, dała jej znak i sama poczęła wypytywać starego Wojciecha.

– Bo to mój kochany Wojtku – ktoś Julcię w lesie przestraszył!

– Jako JW. pani? w lesie?

– Na siwym koniu, jakiś młody człowiek, tylko co ich nie roztratował.

– Na siwym koniu! młody człowiek! rzekł nakrywając serwetę Wojciech mocno zadumany. – Młody człowiek na siwym koniu! Zaś! któżby to był? Pan Ciemięga.

– Ależ go znamy i nie młody. —

– Juźciż niema czterdziestu.

– Julka śmiać się zaczęła. – Ale to bardzo młody człowiek.

– A! bardzo młody człowiek! to może pan Tadeusz.

– Zmiłuj się!

– Ten nie ma jak trzydzieści kilka.

– Ależ my tych panów znamy, to ktoś całkiem nieznajomy. —

– Któżby to mógł być całkiem nieznajomy! A jakże proszę panienki wyglądał?

– Przystojny, słuszny, ciemnego włosa, koń pod nim siwy, na nim sukmanka, róg i strzelba.

– Koń siwy! nawet wierzchowca siwego nieznam w sąsiedztwie. Tylko u xiędza proboszcza w dyszlu chodzi hreczką zasiana kobyła.

– Julja pękała od śmiechu. – Ale mój Wojciechu to koń prześliczny! mówię ci prześliczny i nosił go.

– Piękny kiedy nosił! no! no! Dalipan trudno zgadnąć, ktoby to mógł być taki. I jakby dla podsycenia myśli opieszałej, Wojciech zażył tabaki sownie, cofając się do drzwi.

– Przecież, mówił dalej powoli, znamy całe sąsiedztwo.

– Właśnie to i mnie dziwi, przerwała Julka, ale poszukaj no tylko po głowie, może i nie wszystkich znamy.

Wojciech się uśmiechnął. – Juźciż rzekł – znamy co jest lepszego, a tej tam drobnej szlachty i szlachetków, ktoby ich liczył!

– Kochany Wojciechu, ludzieć to jak my! pracowici, poczciwi – czemuż ich już za nic rachujesz.

– No, ale bo widzi panna, rzekł stary poprawiając się – żaden z tej szlachty nie może mieć pięknego siwosza wierzchowca, więc

---

– A nikt że nam nowy nie przybył w sąsiedztwo, żaden młody człowiek, coby gdzie był w podróży długo, na naukach lub podobnie. – Stary skrobał się po wyczesanej czuprynie, której siwiznę napróżno farbując, utrzymywał, że był winien nie wiekowi, ale używanej dla połysku pomadzie. Nie – zdaje mi się, że nie. —

– Więc tem dziwniej! zawołała Julka.

– Dajże pokój pytaniom, łagodnie przerwała staruszka – dzięki Bogu nic ci się nie stało, a na co ci ta próżna ciekawość. —

– Moja babunieczku, wdzięcząc się odpowiedziała po cichu wnuczka – coby też człowiek był wart bez ciekawości? Przytem jestem kobieta, a nas już tak za tę wadę okrzyczano, że możemy jej sobie pozwolić, bo czy ją będziemy miały czy nie, zawsze ją nam przypiszą.

Starościna pocałowała ją w czoło, śmiejąc się, a Wojciech zabrał tacę i zamyślony oddalił się.

Przez cały czas opowiadania i rozmowy Marja siedziała dalej trochę, ze spuszczoną głową, milcząca i niekiedy tylko uśmiechem dawała wiedzieć, że słyszy co koło niej mówią, choć widać było, że ją to nie wiele obchodziło. Niekiedy jakby z zazdrością spozjrzała na wesołą Julję. – Lecz była li to zazdrość czy politowanie? I dla czego Marja tak młoda jeszcze, tak już była smutną? Opowiedzmy jej życie, przez nie najlepiej poznamy

charakter Marji: przeszłość nasza to my sami.

Marja była daleką krewną starościnej; rodziców straciła wcześniej, i nim się dostała do domu terazniejszej swej opiekunki, dziwne przebyła koleje. Dzieckiem dostała się w ręce opiekuna, który zmarnotrawiwszy swoją majątność, czyhał na spadek po Marji. Sierota w zapomnieniu i nędzy prawie spędziła dzieciństwo; później rozwijająca się jój piękność nagle zmieniła myśli starego rozpustnika, który straciwszy żonę, niemając dzieci, zamierzył ożenić się z Marją, nic przewidując, aby bojaźliwe dziewczę sprzeciwić mu się miało. Nagle oddano ją na dwuletnią naukę, ustrojono, opatrzone we wszystko i opłacono sownie najemną opiekę **Madame**, której powierzona została. Tu Marja spędziła w rówieńczek towarzystwie najśłodsze dwa lata życia; lecz po nich gdy rozwinięta na umyśle, poznawszy świat i uśmiechnąwszy się ku niemu, powróciła do opiekuna – jakie ją czekały cierpienia!

Stary wdowiec wszelkich używał sposobów, aby opór niespodziany Marji pokonać i zmusić ją do ślubu. Biedne dziewczę całą siłą przeciwowało się temu; starzec nie zważał i występkiem najszkaradniejszym dopełnił miary dawniejszych. Wkrótce potem zużyty, zgryziony, jak bydle skonał, śmiejąc się z życia, szydząc z sieroty, pytając gdzie jest Bóg co karze. Biednej Marji oswobodzonej pozostała wolność, której użyć niewiedziała jak – sama jedna była na świecie, młoda a zwiędła, z sercem czystym a skalana, znużona życiem nim je poznała. – Szczęściem starościna dowiedziała się o dalekiej krewnej i zabezpieczywszy

majątek, którego opiekun stracić niemógł, wzięła ją do siebie.

Obejście się szkaradne starca było tajemnicą pokryte i tej tylko winna była Marja, że starościna nie wahała się przyjąć ją za towarzyszkę dla Julji. Nikt nie wiedział przeszłości, a przecież opłakiwała ją sierota i za cudzy pokutowała występpek. – Przyszłość była dla niej zamkniętą. – Bóg tylko i klasztor pozostały jako jedyna ucieczka. Starościna przecież wiedząc ją majątną, młodą i piękną widząc, niechciała dozwolić, żeby się w klasztorze zamknęła. A gdy sierota prosiła o to ze łzami, odpowiadała jej: —

– Poźniej, dziecię moje, poźniej. – Lepiej się namyślić trzeba, ofiarując Bogu. Gdybyś raz jeden potem miała żałować ofiary, zniszczyła byś jej wartość, dziecię moje.

– O! ja nie pożałuję jej nigdy!

– Niewiesz! młoda jesteś, poczekaj. —

I Marja zmuszona pozostać na świecie, bo czuła w duszy, że oddać się nikomu niemogła, splamioną będąc bez grzechu, bez kłamstwa – szła dalej a dalej nieśmiejąc nawet spojrzeć na świat i ludzi. Dla niej nie było obojga. —

Kilka dni upłynęło od owego wieczora, który dotąd niewyszedł z pamięci Julki; dopytywała ona troskliwie wszystkich o swego nieznanomego nietylko domowych, ale sąsiadów odwiedzających Dąbrowę, napróżno śmiano się z trzpiota i ona sama z siebie. Babka zakazywała na próżno tego zajęcia niewiedzieć kim, niewiedzieć dla czego? ale młodemu dziewczęciu, tak samowolnemu jak Julka, zakazać

było najtrudniej. Zakaz ją jątrzył, niepodobieństwo nęciło, tajemnica podbudzała, a nieznamy wyrastał w ślicznej jej główce na bohatera. Marja naprzód usiłowała przekonać krewnę, że to był ktoś zapewne przypadkowo w tych stronach przebywający, że odjechał, że go więcej niezobaczą. Na te słowa Julja porywała się jak lwica, i uderzając rączką po stole, wołała – nieprawda! nie! ja go muszę widzieć! to być nie może. —

– Dziecię drogie, cóż to – czyś go już pokochała – czy co? bo prosta ciekawość nigdy tak namiętną nie bywa.

– Tak, moja droga mentorko, ale że u mnie twej najniższej sługi wszystko jest gwałtowne, dziwne i niepospolite, moja więc ciekawość przybiera też pozór niezwykajny.

– Czemże będzie twoja miłość?

– O! kładąc rękę na sercu odparła Julja, zobaczysz – zobaczysz! mówiłam ci pamiętasz tego wieczora, gdyśmy go spotkały – miłość moja nie będzie podobną do niczego, co to wy tem nazywacie wieńcem. Będzie to kwiat aloesu, co wystrzeli raz w życiu, ale ludzie mogą się zbiegnąć, żeby go zobaczyć —!

Marja westchnęła i spuściła oczy. —

Wieczór znowu wyzywał na przechadzkę. —

– Chodźmy, zawołała Julka, pod dęby, gdzieśmy go wówczas spotkały, a nuż się tam znowu ten król sylfów ukaże?

– Patrz, chmura na zachodzie czarną ławą stoi.

– Ty się boisz burzy?

– Wiesz, jam sierota, nawykłam się lękać i boję się wszystkiego. —

– Biedna moja! ale zemną czegoż byś się bała – a przytem burza daleko, jeżeli przyjdzie, to chyba w nocy; pójdę, babci się opowiem, żeby nie myślała żeś uciekła i – pójdziemy. Dla większego bezpieczeństwa Staś ogrodniczek pójdzie za nami.

– Jak chcesz, jam ci posłuszna. —

– Posłuszna! ja bo niechęć twego posłuszeństwa – a pójdiesz że z ochotą?

– O! z ochotą, odparła uśmiechając się Marja, ty wiesz jak lubię lasu ciszę i przechadzkę, cóż dopiero z tobą.

Julka już porwawszy kapelusz poleciała do babki, powróciła od niej i narzuciwszy szalik na białe ramiona, zawoławszy Stasia ogrodniczka, pociągnęła Marję za sobą w topolową ulicę.

Długa droga polem i lasem ciągnąca się przed nimi, którą obie ciekawym mierzyły okiem, pusta była zupełnie. Przyszły rozmawiając pod stare dęby i wysławszy Stasia, żeby im kwiaty leśne zbierał, zaczęły rozmowę.

O, młodych rozmowo! ze złocistych wyrazów, z złotych myśli złożona, któż cię powtórzy taką jaką ty jesteś, gdy z ust różowych wylatują. O myśli młode! o uczucia młode! co jak białe chmurki przelatujecie bez powrotu, któż was odtworzy w całej krasie, lekkości, z całą duszą waszą? Nie! nie! to są niepowrotne zjawiska, a wspomnienie daje tylko skielety – nic nie odtworzy tych myśli i wyrazów. Poźniej i poźniej i myśl i słowo sunie się po ziemi, jak czarny dym na słońce; ale w tych latach wybranych, jakże daleko niosą skrzydła po obszarach zaczarowanych, jak słodko leci myśl z nadzieją, z uśmiechem i miłością?

Nikt młodej niepowtórzy rozmowy – może aniołowie w niebie, a drudzy młodzi na ziemi. Ale nam starem sercem, starym wiekiem, zużytym i złamanym, gdzie wyżebrać duszy tyle ile jej ma młodość, zkąd wyżebrać jej skrzydeł? Tak! ona jedna ma skrzydła, może skrzydła Ikara, ale jak miło podlecieć nimi, choćby paść potem i utonąć.

Julja mówiła, słuchała Marja i rzadko tylko rozczarowanej tęskne słowo smutne, głębokie jak nieszczęście, przerwało ptasze szczebiotanie dziewczęcia, co życie swe całe puszczała z ust wyrazem.

W tem zaszeleściło za nimi – sądziły obie że Staś ogrodniczek powracał. – Julja krzyknęła i porwała się. Nieznajomy na białym koniu, ale powolnym stępem, zbliżał się ku nim.

Zamyślony, podniósł głowę dopiero gdy je zobaczył i z uśmiechem skłonił się Julce, której oczy jak w tęczę wlepione były w niego.

– O! co teraz, szepnęła Julja do Marji, to go niepuszczę aż mi się zaprezentuje.

– Dziecię, zlituj się, przerażona zawołała towarzyszka – zrobisz dzieciństwo.

– Niebój się – będę bardzo rozumna.

Nieznajomy zatrzymał się o kilka kroków. Przepraszam, rzekł: przestraszyłem panie znowu, potrzeba takiego wypadku, żebym już drugi raz zabłądził w cudzy las i zawsze tu.

– Widać, żeś pan obcy w tej stronie; rzekła Julka.

– Tak, od niejakiego czasu, rumieniąc się odpowiedział młody chłopiec – chociaż

– Ja niepojmuję jak tu zbłądzić można, lasy nasze tak małe.

– Ale góry i wąwozy, jamy, dla kogoś, co ich zapomniał, całkiem bałamuca.

– Pan jak widzę lubi polowanie.

– Niepojmuję mężczyzny mojego wieku, coby konia i strzelby nie lubił. Ale ja paniom przerywam rozmowę, a nieznajomy, obcy niepowinienbym nawet i słowa przemówić. To przeciw wszelkim zwyczajom.

– Na wsi nie jesteśmy tak ceremonialni.

A! co za ładny konik! zawołała Julka przypatrując mu się i usiłując już urywającą się zawiązać znowu rozmowę.

– Konik mój, **Lebed'**, prawda że piękny, ale cóż jego piękność przy jego przymiotach.

– Najważniejszy że nosi.

– Tak, – śmiejąc się odpowiedział nieznajomy, ale mnie wybornie zaniósł.

– W istocie, tylko co nas pan nie roztratował, – to wybornie.

Marja napróżno ciągnąc za szalik, chciała Julję od rozmowy powstrzymać, ta jej się zupełnie zbuntowała.

– Ale widzi pani, jak teraz spokojny —

– Cóż kiedy daleko piękniejszy mi się jeszcze wydawał gdy nosił.

– O! chciał się oswobodzić!

– Pan mieszka daleko? niecierpliwie spytała Julka.

– Nie bardzo.

– Bo słońce zachodzi, a może —

– O! spojrzął na słońce – Lebed zanieś mnie, choćby o mil trzy przed zachodem słońca.

Marja nic nie mówiła, niespokojna, tylko okiem mierzyła nieznajomego ciekawie, smutno jak zawsze; on także kilka razy spojrzął na nią.

Nadszedł ogrodniczek z ogromną wiązką kwiatów, i to przerwało rozmowę. Nie było czym związać zerwanych roślin, i gdy się około nich zajmować zaczęła Marja, nieznajomy skoczył z konia lekko, dał go w ręce Stasiowi, a sam odwiązawszy zielony sznur od myśliwskiego rogu, ofiarował go do skrępowania rozsypujących się starodubów, polnych róż i kampanulli. Obie panny przyjąć niechciały tej pomocy, a zręczna Julja po naleganiu nieznajomego, już sznur trzymając w roku, zawołała:

– Najprzód od obcych i całkiem nieznajomych nic się nieprzyjmuje, powiesz więc nam pan kto jesteś, powtóre powiesz gdzie mieszkasz, bo chcemy ten piękny sznur panu odesłać, otóż wybornie byśmy i bez niego się obeszły.

– Kto jestem, rumieniąc się powtórnice rzekł młody chłopiec, mówić nie warto, gdzie mieszkam? sam nie wiem. Dziś tu, jutro gdzieindziej. I czoło mu się zachmurzyło widocznie.

– Chcesz nas pan intrygować. —

– Nic a nic, ale powtarzam paniom, moje nazwisko obce nicby niepowiedziało. To mówiąc ukłonił się, spojrzął powoli na Julję najprzód, potem na Marję z jednakim wyrazem, zbliżył się do

konia i ledwie chwycił za cugle, już im z oczów zniknął.

Julja cała zniespokojona, zawołała:

– O na ten raz, to coś doprawdy niepospolitego, jakaś tajemnica – niechcieć powiedzieć nazwiska!

– Gorzej moja Julko, żeś tak niepotrzebnie wdała się w rozmowę.

– Marjo! ty zawczasie mniszką siebie i mnie chcesz zrobić w dodatku. Cóż tak złego, rozmowa! obojętna!

– Mówiłaś tak żywo.

– Wiesz że inaczej nieumiem.

– Co on pomyśli o nas.

– Co? żeśmy młode i ciekawe.

– A jeśli powie sobie – zalotne?

– Marjo droga, alboż my tego potrzebujemy? mój Boże – nie dośćże jednego spojrzenia twoich ciemnych łzawych oczów, moich niebieskich wesołych, żeby upłatać człowieka. – I przyznam ci się, patrzałam na niego z całej siły, a jeśli go to wejrzenie nie zapali, nie rozmarzy, nie pociągnie, o! gotowam jak ty wstąpić do klasztoru.

– Widzisz Julciu – to już zalotność. Tyś zimna, a chcesz go pociągnąć ku sobie, jest to występkiem, droga moja. —

– Zimna, a któż ci to powiedział?

– A! co ty pleciesz.

Julka pierwszy raz zarumieniona, ukryła twarz na ramieniu towarzyszki, ale rychło podniosła ją śmiejąc się.

– Widzisz jakem cię nastraszyła – ale ja żartowałam tylko; o!

wierz mi, to było żartem. Któż się może tak nagle pokochać.

– Siostró – bo mi cię tak wolno nazywać, nikt inaczej nie kocha jak nagle. – Słyszałam, czytałam, wiem – miłość przychodzi z jednym wejrzeniem.

– Doprawdy? możesz to być —? I Julka poczęła żartować, a tak w pół serjo, w pół śmiejąc się doszły do dworu; Marja zwróciła się do ogrodu. Julja do babki, ale wprzód rozwiązała kwiaty i sznur zielony uniosła z sobą. Już w ganku zastanowiła się przyglądając mu bacznie i z uciechą dziecinną postrzegła na kutasach sutych wiszących u końca głośki J. D., zapewne poczynające imię i nazwisko właściciela. Pospieszyła do babki ze swoją zdobyczą, i choć staruszka łajała ją trochę, choć naganiała rozmowę, a bardziej jeszcze za branie sznura, potrafiła się wytłumaczyć, uniewinnić i pocałunkami a pieścotami wymówić od napomnień. A bojąc się by wina nie spadła na Marję, wcześniej wszystko wzięła na siebie.

– Teraz, rzekła do babki, musimy koniecznie dowiedzieć się kto to taki. Przypatrzyłam mu się – widać że dobrze wychowany i majątny chłopiec, choć w sukmanie jeździ. Kóni drogi i piękny, wszystko koło niego wytworne, bogate prawie – Babciu, to być niemoże, żebyśmy się nie dowiedziały, co to za jeden przecie.

– A jaki z ciebie ciekawiec! kiwając głową rzekła staruszka – już ci ci dogodzić potrzeba, bo tajemnica główkę ci przepali. – Sięgnęła za dzwonek i w tejże chwili prawie Wojciech się ukazał.

– Poprosisz do mnie pana Łady.

– Natychmiast jw. pani. I wyprostowany starzec odwrócił się

i wyszedł.

– Teraz dziecko, proszę cię, przejdź za krzesło moje, weź książkę w rękę i jak mnie kochasz do niczego się nie mieszaj.

– Jak mnie kochasz! powtórzyła babunia, a nad to zaklęcie nie było dla Julki większego. – Siadła więc za staruszką i milczała, bo już poważny krok pana Łady dawał się słyszeć w sąsiednim pokoju.

Łada, stary szlachcic, dobrej duszy, tęgiego wąsa, okrągłego brzucha, był rządcą majątku starościnej. Poczciwy człowieczysko, zagorzały myśliwiec, miał tylko jedną wadę, że był gaduła nieznośny, zaczepiwszy go, odczepić się od niego nie było podobna. Od słówka do słówka, z myśli na myśl naskakując, zapytany o pogodę, opowiadał całe życie swoje. —

Miło było spojrzeć na starego Ładę, którego rumiane policzki, wesołe oko, uśmiechające się usta, czoło wypełzłe trochę, ale bez zmarszczka, znamionowały zupełnie szczęśliwego człowieka. I pan Łada opowiadał też, że był bardzo szczęśliwym człowiekiem całe życie, niezapierając się szczęścia wcale; do tego stopnia szczęśliwym, że gdy już żony swarliwej i pijaczki poczynął nie módz znieść dłużej – żona mu nawet w sam czas jakoś umarła. Suta czamara granatowa okrywała rządcę, który zbliżając się do progu starościnej, począł iść na palcach i nareście uchylił drzwi powolnie, kłaniając się rozweselony, nim wszedł jeszcze.

– Mój kochany Łado, poczęła starościna, kto też to obcy jakiś, już podobno drugi raz, w naszym lesie i pod samym prawie dworem w dąbrowie poluje? moje panienki już go tam drugi raz

spotykają.

– Obcy! jw. pani! obcy! w dąbrowie – jak pana Boga mego kocham, wstyd mi wyznać, ale doprawdy niewiem. W całej okolicy jw. pani znam wszystkich myśliwych, ale nikt na nasze ziemie się nie zapędza.

– Przecież mój Łado.

– Jw. pani mi daruje, że niewiem, ale w istocie, samemu mi wstyd.

– Któżby to mógł być? spytała staruszka powolnie – młody, przystojny, na bardzo pięknym siwym koniu i tak zdaje się coś z pańska. —

Pan Łada słupiał, ramiony ruszając. Że niewiem to niewiem, rzekł, ale dowiedzieć się muszę, chociażby niewiedzieć co mnie to kosztować miało. Bo już ciż to takie nadużycie – i co nadto, to nadto! podedworem!

– Zdaje się, że nazwisko jego od D. zaczynać się musi. —

– Jw. pani sądzi? wytrzeszczając oczy, rzekł p. Łada. – Od D.? od D.? —

– Jest bo wiele (bez złej myśli) takich co od D – się zaczynają. A najprzód pan Depczak z Koziej Woli, którego córka poszła za Krzywaczyńskiego z Bzowicz, ale to nędzota; potem Dermański, ale to posesor, i Dazigrodzki – co to był ekonomem w dobrach Radziwiłłowskich i – jeszcze a! Darmula, szlachcic – ale i to uboż. – Wszystko od D – to uboż jw. pani – A żeby tak z pańska coś być miało, to niewiem, w całej taki okolicy. A chwalić Boga zjadłem tu także nie jedną beczkę soli w tych stronach, ot i u jw.

państwa osiemnasty rok, i ludzie mnie i ja ludzi znam. – Zamyślił się. —

Korzystając z tej przerwy starościna, usiłowała go pożegnać słowy: No – to się dowiesz panie Łada, i doniesiesz mi.

– A jakże, jw. pani – muszę się dowiedzieć. Jednakże to coś osobliwego! żebym ja kogo w tych stronach nie znał, a jeszcze z waszecia. —

Byłby nieskończenie prawil, bo już mu się zbierało na wyliczenie systematyczne wszystkich sąsiadów, gdy starościna znowu pożegnała go – więc do zobaczenia.

Rad nie rad wysunął się za drzwi mruczając, ale zaraz w przedpokoju złapawszy Wojciecha, półtorej godziny go wytrzymał po setny raz mu opowiadając, jak w r. 1812 Kozacy go zbili, jak uciekał, jak się w lesie chował, jak mu tam jeść nosiła nieboszczka żona, jak potem przez wdzięczność ją poślubił, jak go gryzła, jak go męczyła, jak umarła, jak po niej płakał i td. —

Wojciechowi nogi od stania mdlały, ale wstydził się do tego przyznać, żeby nieprzypisano wiekowi, co on sam tylko na znużenie zwykł był składać.

Następne dni upłynęły w zupełnie próżnych poszukiwaniach czynnego p. Łady, który rad z pretextu ugadał się przynajmniej do chryпки. Niepospolicie jednak martwiło go niepowodzenie i przed oczy starościnej nieśmiał się stawić. Nikt w okolicy nieznał ani młodego człowieka, ani siwego konia.

Wnosząc z kierunku w którym przybywał, i drogi jaką

odjeżdżał, rządzca w jedną szczególnie kierował się stronę, ale nie było kąta któregoby nie splondrował, a napróżno. —

W tydzień jadąc wózkiem za interesem do miasteczka, na gościńcu spotkał się z nieznanym, kubek w kubek do opisanego mu podobnym; ale nim się przybrał począć z nim rozmowę, siwy koń uniósł go daleko. Pan Łada kazał w czwał jechać chłopakowi za nim, zgubił czapkę, załamał się na dziurawym mostku i klnąc osiadł na kilka godzin wstrzymany złamaniem dyszla i koła.

Prawda że naklął się i nagadał co mógł – ale to na nic mu się nie zdało. —

Już tedy zdawało się niepodobieństwem odkryć dziwnie ukrywającego się gdzieś młodzieńca, i Julka coraz bardziej nim zajęta najdziwaczniej marzyła, gdy znowu przyszła jej chętka pójść na przechadzkę z Marją do dąbrowy. Napróżno odradzała towarzyszka; zepsute dziecko niechciało rozumieć rady, a gdy mu zabrakło wyrazów i konceptu, poczynało tak prosić, tak ścisnąć, tak pieścić Marję, że sierota ze łzami w oczach robiła wreszcie co chciała Julka. – Oprzeć się jej było niepodobna.

Poszły więc w dąbrowę, znów usiadły na murawie, ale Julka już oka nie spuszczała z gęstwiny, którą dwa razy zjawił się ciekawy młodzieniec. —

Na ten raz napróżno siedziały do mroku, słońce zaszło i musiały powrócić do dworu. Julka była smutna nad swój zwyczaj, zamyślona i oczy jej zachodziły łzami. Marja choć z bolem serca rozweselała ją, usiłując udać wesołą.

Wymyślała zajęcia, zabawy, czytania, prowadziła do kwiatków, zachciewała grać na cztery ręce, słowem czyniła co mogła żeby rozerwać Julię, ale na próżno. Starościna nawet postrzegła zmianę we wnuczce i przestraszona wzięwszy na bok Marję, rozmówiwszy się z nią, wieczorem oznajmiła, że w miasteczku ma być bal na kościół dany i że należałoby tam pojechać. —

Oddawna starościna sama nie ruszała się z domu, ale w razie potrzeby Marję z Julją oddawała pod opiekę sąsiadki, dalekiej krewnej starosty, pani podkomorzynej, która podejmowała się z chęcią wozić i bawić piękną Julję. Choć porównanie własnej córki z dwoma pięknymi panienkami niebardzo dla niej było korzystne, przecież ku krzesłom gdzie siadały, płynęła młodzież, mógł się ktoś zająć panną Matyldą; a zresztą dobrze było pochwalić się choć kareta starościnej, jeżeli nie jej pokrewieństwem. Ale Julka dotąd ochocza do zabawy, wręcz teraz odmówiła babce.

– Po co my tam pojedziemy! to będzie nudne! Bal w lecie, kto to widział!

– Ale moje serce, trzeba żebyście tam były – to na kościół, który murować mają ze składki, z loterji i z dochodu biletów.

– No, to dajmy co potrzeba, a niejedźmy. —

– Jeżeli od nas nikt nie będzie i inni sąsiedzi nie pojedą, – odparła starościna, a oni nie jadąc, nie dadzą nic. To po części obowiązek.

– O! babciu droga, kiedyż ja tak tych balów nie lubię!

– Cóż ci to – niedawno jeszcze wyglądałaś go i dopytywałaś o niego.

– Ale teraz jechać niechcę. —

– Namówisz się, serce moje, zrobisz to dla mnie.

– Każe babunia? I spojrzała na nią.

– Na ten raz – każę. —

– A no, to i pojedziemy!

Natychmiast posłano do podkomorzynej i poczęli robić przygotowania do balu —

Za trzy dni następował dzień ten uroczysty w powiatowym miasteczku, dzień o którym mówiono od miesiąca, do którego przysposabiano się z myślą zaćmienia balu, którego przedmiot przed ośmiu tygodniami dany był w drugim mieście powiatowem. Chodziło tu o honor powiatu, nieszczędzono więc niczego, aby daleko za sobą zostawić wspomnienia balu, którym chlubili się sąsiedzi.

Nietylko najbliżsi obywatele, ale wszyscy urzędnicy niezmiernie wzięli do serca pokazać się, wystąpić. Największa sala ratuszowa, od tygodnia bielita się, myła, woskowała, porządkowała i opatrywała w meble napożyczane z sąsiedztwa i z miasteczka. Sam jw. marszałek i jw. marszałkowa obrani byli gospodarzami balu, a że trafiło się raz dla interesów heroldyjnych być jw. marszałkowi w stolicy, obiecywał więc wszystko urządzić po **petersbursku**: tak mówił.

Swiece wszystkie co do jednej były stearynowe, bo w balu o którego przyćmienie chodziło, połowa ich okazała

się łojową. Podłogę wywoskowano jak szkło, zamiast Żydów sprowadzono dwunastu Czechów, a bufet podjął się zaopatrzyć Pirati cukiernik, o którego wielkiej umiejętności w swej sztuce nikt niewątpił. Wszyscy wiedzieli, że był Szwajcar i umiał nawet likworowe robić cukierki. —

Ile gratów i rupieci nazwożono do ratusza w ostatnim bal poprzedzającym tygodniu policzyć się nie da. Sama pani sprawnikowa urządziła pokój spoczynku dla tanecznic, sam sędzia zrobił rewizję bufetu, i wykosztował wszystkiego co podawanem być miało; podsędek zaś dobierał wina, i gdy w sąsiednim miasteczku wypito tylko szesnaście butelek szampańskiego wina, tu przygotowanych było trzydzieści i to daleko przedniejszego. — Wszystkie zresztą butelki były z karteczkami drukowanemi, co im niezmiernie dodawało smaku.

---

Po pomarańcze posłano sztafetę do guberskiego miasta, a marszałek w pole hiszpańskiego płaszcza przyniósł sam cztery nadgniłe ananasy do ustrojenia stołu. — Ot tak! rzekł, niech znają naszych! Tylko mi ananasy po wieczery oddacie.

W okolicy z powodu strojów, na które się wysadzano, ruch był niesłychany. Posłańcy latali do miasteczka po kilka razy na dzień, Żydzi uwijali się biedami i oklep, a pani marszałkowej sążnisty kozak zbił się tak w ostatnich trzech dniach, że się położyć musiał. — Listy zapraszające rozesłane zostały z usilną prośbą na wszystkie strony, chodziło bardzo o liczbę osób, choćby ich niebyło gdzie pomieścić.

Marszałek powtarzał ciągle: Będzie **po petersbursku** – **grandioso** moci panie, **grandioso**, co się nazywa! —

Loterja też obiecywała nagrodzić, co honor nakazywał uszczerbić z dochodów biletowych na kościół przeznaczonych. Większa część losów była sprzedana, inne po pierwszej lub drugiej kolei kielichów rozdać spodziewano się. Najpiękniejsze damy, a w ich liczbie marszałkowa mimo czerwonego nosa, prawem urzędu umieszczona, roznosić miała bilety. —

Dzień wielki i pamiętny, zbliżał się – na ostatnich godzin kilka okazało się tak wiele jeszcze do zrobienia, gdyż wszyscy do ostatka coś odłożyli, że w miasteczku gwar i ruch był jak w czasie pożaru. Tego już opisywać nawet niepodobna. – Wszyscy byli jednym zajęci – balem; w obliczu jego równały się klasy towarzystwa, i sekretarz sądu powiatowego zarówno z kancelistą strapczego roznosili ważniejsze rozkazy dopełniające przygotowań stanowczych. Marszałek kłócił się osobiście z Żydami. Sędzia własną ręką przesuwał krzesła i kanapy.

We wszystkich domach przez oświecone okna widać było ubierające się damy, które w pośpiechu i niecierpliwości okiennic nawet pozamykać zapomniały. W ratuszu pozapalane lampy ustawione w dwa rzędy, tłum ludu zbierający się u drzwi i hałas niepospolity, którego na próżno starali się uśmierzyć ubrani paradnie budnicy, zwiastował zbliżającą się uroczystość. Do domów zajezdnych wjeżdżały coraz nowe koczki, karety, koczki i bryczki.

Całe miasteczko było w gorączce, a chore panie i panowie,

zmuszeni pozostać w domu, kłęli słabość i doktorów. Marszałek, który najdokładniejszą miał wiadomość o przybywających i przybyłych przez nadwornego swojego faktora, nie bez pewnej dumy postrzegł, że obywatele sąsiedniego powiatu w znacznej liczbie zwabieni jego balem przybywali. – Pociągnął mocno kołnierzyka do góry i uśmiechając się rzekł, zażywając tabaki od sprawnika: – Niech się przekonają! **grandioso** będzie – **grandioso**

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.